

Dariusz  
Bitner



# Cud

Warszawa 2024

W mojej rodzinie wszyscy czytali. Jak sięgam pamięcią, w naszej rodzinie czytali wszyscy. Mieszkaliśmy w dwóch pokojach, jednym trochę większym, drugim trochę mniejszym – dziadkowie, ich trzech synów, moi rodzice, ja, mój brat i siostra. Była jeszcze prababcia, ale tej prawie nie pamiętam... Wszyscy więc czytali.

Dziadek czytał napisy na etykietkach, opakowaniach, na wszystkim, co babcia przyniosła ze sklepu; czytał powoli, z namaszczeniem, poczynając od największych liter, nazwy produktu, przez mniejsze, opisujące nazwę fabryki, która wyprodukowała kisiel albo makaron dwujajeczny, i na koniec te zupełnie malutkie; każdą tajemniczą, nic nikomu niemówiącą literkę dziadek odczytywał starannie, po czym odkładał przeczytane dzieło i sięgał po następne. Dopóki nie odczytał wszystkiego, co pojawiło się w domu. Wtedy jakby budził się ze snu, spoglądał na wszystkich – i tak nikt go przecież nie słuchał – i oświadczał, że musi przeczytać „szematy”. Bardzo dużo czasu minęło, nim zrozumiałem, że mówił wtedy o schematach, dokumentacji technicznej mebli, stołów, krzeseł i wszystkiego, co tylko dało się zrobić z drewna w spółdzielni produkcyjnej, gdzie

piastował (też lubił używać tego słowa) funkcję majstra. Nie wiem do dziś, skąd wzięła się ta specyficzna wymowa; może było to wymogiem ścisłego, precyzyjnego umysłu dziadka, który wszak nie rozstawał się z suwmiarką, noszoną w miejscu, gdzie elegancki dandys wkłada zaprasowaną chusteczkę; wyobrażam sobie, że mówił tak, aby dodać powagi wykonywanej przez siebie pracy i z należytą czcią przeczytać zbitkę liter „sch”, co jak powszechnie wiadomo – zwłaszcza ludziom, którzy doświadczyli wojennej pożogi i osłuchali się z niemiecką wymową nazwisk: Schmidt, Schulze czy innych – czyta się jako „sz”. A może była to po prostu jakaś środowiskowa, jakaś regionalna, jakaś z przedwojennej kindersztuby wyniesiona oczywistość, dla której nie było alternatywy. Faktem jest, że przez całe życie nadziewałem się potem na przeróżne indywidua, zazwyczaj daleko posunięte w latach, które ni stąd, ni zowąd wyjeżdżały ze słowem „szemat”, gdy mowa była o jakimś rysunku technicznym.

Na swój sposób podziwiałem to czytanie, bo dziadek wyglądał, pochylony tak nad rozwiniętymi z rulonu płachtami szematów, trochę jak czarnoksiężnik, jak wtajemniczony w nieznaną maluczkiemu kapłan spółdzielni Dębowy Świt czy jakoś tam. Tych rulonów miał zawsze aż nadto. Często wpatrywał się w jeden długi minutami, godzinę nawet, by potem rozwinąć inny na parę sekund, zrolować i zrzucić na podłogę, i znów się wpatrywać w tamten, ważniejszy. Wszystkie były szaroniebieskie, wymięte i wyblakłe. Dziadek czasem sięgał po lupę i wodził nią po szemacie, jak poszukiwacz skarbów po mapie, według której można trafić prosto do wyspy skarbów. Całe to misterium kończyło się zawsze interwencją babci, która koniecznie musiała położyć coś na stół,

zarzucony rozwiniętymi, zwiniętymi lub na wpół rozwiniętymi, a na wpół nierozwiniętymi niebieskimi rulonami (gdy potem dowiedziałem się o zwojach papirusów starożytnego Egiptu – dziadek, dawno już wtedy rychtował stoły, szafy i zydle dla Pana Boga – od razu zobaczyłem go „zaczytanego” w „papierusowych szematach”).

Kto wie, czy nie to było prawdziwym początkiem moich problemów, nie wiem, nie wiem, ale kto wie, czy nie to właśnie zaważyło na całym moim życiu, że dziadek czytał, a ja widziałem kreski, malutkie obrazki – tam rysunek śrubki, tu rysunek kawałka mebla – a nie widziałem liter. Tam gdzieś one były, i litery, i cyfry, jasne, że być musiały, ale dziadek nie czytał takich szczegółów, widziałem to aż nazbyt dokładnie – on czytał całość: patrzył na wszystko z wysoka, z lotu ptaka, z perspektywy uwolnionej z okowów ciała-duszy, z pozycji Boga... patrzył i wszystko widział. Wpatrywał się i rozumiał. Czasem kręcił głową, sięgał do innych płacht, ale tak naprawdę – panował nad wszystkim. Czytał i rządził. Majster, to była przykrywka – on kierował całym światem. Bez liter, wystarczyło, że umiał czytać szematy. Wielki kapłan. I tylko przed babcią musiał udawać potulnego – szast-prast, zwijał wszystko na jedną kupkę, którą potem (gdy babcia wjeżdżała na stół z piramidą kromek chleba i kubkami z herbatą) w magiczny sposób chował w teczce, tej, z którą nie rozstawał się nigdy. Dziadek miał w teczce szematy świata całego i – wtedy tak myślałem, a dziś wiem, że to prawda – tylko on umiał je czytać. Więc czytał.

Babcia czytała kalendarze. Przez cały rok, po jednej kartce. Kalendarz wisiał w kuchni, włożony w szparę w tekturowym szablonie, przybitym gwoździem do ściany. Kalendarze zmieniały się co rok, a szablon wisiał jeden,

jak pamiętam, jeden i ten sam. Na rogach wyszmudrany, wygięty jakoś tak konwulsyjnie, jakby ściana go parzyła, no a zdjęcie, czy malunek na nim, było wyblakłe, zszarzałe i nie wiadomo do czego podobne. Takie jakieś ogólne, niepodobne do niczego, dla mnie będące jedynie wyobrażeniem obojętnego wobec Bożego świata tekturowego uchwytu do zmieniającego się co roku kalendarza.

Babcia budziła się pierwsza, bo jako czytelniczka kalendarza stała na straży porządku całego domu. Czemu innemu, jak nie porządkowaniu świata służy kalendarz? Szykowała śniadanie dla dziadka, robiła kanapki zawiązane w szare papierowe torebki bez napisów, które dziadek miał obowiązek przynosić z powrotem, dopóki plamy tłuszczu albo ogólna wymiętość nie zdyskwalifikowały torebki ostatecznie. Ale o tym decydowała babcia.

Czekały na nią rozliczne obowiązki wynikające z kapłańskiego stanu dbania o ład, tak że dopiero wczesnym popołudniem, kiedy znajdowała czas, by przysiąść, wypić w spokoju herbatę – sięgała w stronę kalendarza, na którym wciąż wisiała wczorajsza data. Zrywała ją bardzo starannie, bo takich kartek było przecież trzysta sześćdziesiąt pięć (no, wiadomo, czasem sześć) i byle jak oderwana kartka uniemożliwiłaby potem dobre oderwanie następnej, tamta kolejnej i tak ani by się babcia opamiętała, a w kalendarzu na ścianie zrobiłby się bałagan, wisiałoby sobie takie niechlujstwo i urągało babci i jej zasadom. W rezultacie taki wynikający z niechlujstwa nawis źle poodrywanych kartek mógłby po jakimś czasie nawet zablokować oderwanie kolejnej daty, i co wtedy? – zatrzymałby się czas? Świat zamarłby w bezruchu? Babcia przestałaby czytać?

A tak, podglądałem ją nieraz, jak odrywa wczorajszą datę, z taką elegancją, jakby odkrywała małą kołderkę,

pod którą dzień aktualny jeszcze śpi, jeszcze tak naprawdę nie istnieje. Stawał się dopiero, gdy babcia odczytywała półgłosem datę i dzień. Roku nie podawała, byłoby to z jej strony zbyt daleko idącą nadgorliwością. Odczytywała jednak, kto tego dnia obchodzi imieniny. Po czym siadała z zerwaną kartką dnia wczorajszego, zwiędłą już, nieaktualną, i patrzyła na nią, na wczorajszą datę, jak kochająca matka mogłaby patrzeć na śpiące dziecko. Popijała herbatę, tak wpatrując się i chociaż nie mogą tego wiedzieć – głowę bym dał, że wspomina wszystko, co wydarzyło się wczoraj. Następnie kartka wędrowała na stół w dużym pokoju i leżała tam aż do wieczora, do kolacji. Wtedy to dopiero (gdy głowa już była wolna i wszystkie obowiązki dnia codziennego spełnione) babcia odwracała zerwaną kartkę datą do spodu, a tam, z drugiej strony, zawsze było coś do przeczytania. Raz był to przepis na potrawę (czasem babcia dała się zainspirować, ale rzadko, rzadko, lepiej wiedziała, co i jak zrobić, by smakowało), kiedy indziej życiorys ważnego działacza politycznego (jeśli akurat były to jego imieniny albo urodziny – babcia odczytywała wszystko półgłosem, dla siebie, nie dla reszty rodziny, i zazwyczaj krzywiła się z tajemniczą intencją na koniec, nic więcej nie mówiąc), jeszcze innym razem trafiał się jeden albo dwa humory (te babcia czytała głośniej, żeby dziadek usłyszał, ale jakoś nie wybuchali nigdy śmiechem, czasem tylko tak sobie, jakby z uprzejmości dla kalendarza okazali radość, „dobre, dobre” – mówił wtedy dziadek, a babcia, trochę mu nie dowierzając, czytała humor jeszcze raz i w końcu zazwyczaj wzruszała ramionami). Najbardziej ożywiały ją teksty zaczynające się od słów: czy wiesz, że... To były zawsze jakieś tajemnice świata, nieraz całkiem zaskakujące. Dziadek uczestniczył

w poznawaniu tych tajemnic z równą babci pasją, a ona czytała to całkiem na głos, tak by przy okazji ktoś, kto siedział jeszcze w pokoju, mógł zdobyć trochę wiedzy. Były poza tym porady, były przysłowia ludowe, była cała skarbnica wiedzy – dawkowanej systematycznie każdego wieczora. Potem kartka lądowała w kubie na śmieci.

Najstarszy wuj czytał – zostało mu to po dziadku, jego ojcu – etykiety, ale tylko wódek. Nie było wtedy takiego wyboru, takiej różnorodności jak dziś, ale wujowi to w niczym nie przeszkadzało. Myślę, że i tak pił zawsze jedną i tę samą wódkę. Nalał kieliszek, popatrzył w niego od góry, potem podniósł z pietyzmem, jak hostię, chwilę wpatrywał się w przejrzystość rzeczy zamkniętej i wyodrębnionej z reszty świata grubym szkłem, po czym wlewał tę przejrzystość w siebie, w usta wystawione do góry, wyciągnięte w komin, przygotowane do tej jednej jedynej czynności. Amen. Wypuszczał powietrze ze świstem i mówił: ale dobra, pali. I chociaż wiedział, co pije, brał flaszkę w lewą rękę, odsuwał od siebie gestem hamletowskim, i czytał w głos, doniosło: wódka czysta... czy tam: stołowa (nie pamiętam przecież), czytał, jakby oznajmiając światu – i tyle. Nie wdawał się w jakieś nieistotne szczegóły zamieszczone na etykiecie drobniejszym drukiem. I czytał jedną flaszkę tylko raz.

Z czasem rozczytał się jednak, rozczytał jak diabli, i ciocia cierpiała z tego powodu, zaklinając go na wszystkie świętości, by nie czytał tyle. Ale on nie słuchał, znajdował w tej swojej pasji jedyną pociechę. Czytanie okazało się nałogiem. Dziś myślę, że to może dlatego kobiety nie lubią, gdy ich mężowie czytają, gdy czytają cokolwiek, niekoniecznie butelki. Cokolwiek...

Drugi wujek czytał inaczej. Grał po dancinach na perkusji i długie wieczory zawsze miał zajęte czytaniem nut.

Być może czytał je piąte przez dziesiąte, być może w ogóle nie umiał ich odczytać, bo robił to w milczeniu, ze zmarszczonym czołem, z jakąś nieokreśloną melancholią w oczach. Nigdy nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ale ruszał ciałem. Czasem całym, czasem nogą, kiedy indziej ręką lub głową. Zawsze tylko przez chwilę w trakcie czytania – ruszał, ruszał, ruszał czymś i... przestawał, zamierał, nie przestając dalej czytać albo tylko wpatrywać się w tajemnicze zapisy na pięciolinii.

Najmłodszy wujek, starszy ode mnie raptem jakieś sześć lat, nauczył się czytać tabele sportowe. Ślęczał nad nimi długie godziny, coś wypisywał ołówkiem kopiowym na marginesach gazet, trzymał taką tabelę w garści, gdy oglądał mecz albo słuchał wiadomości sportowych w radiu, ekscytował się czymś, złościł albo trwał w okrutnej obojętności całe dni, tygodnie i miesiące, bez końca czytając te tabele. Ale nigdy nikomu nie powiedział, co z nich wyczytał. I często był smutny.

Moja matka czytała oczy ojca, zanim jeszcze poczuła, że wypił cokolwiek, wracając z wachty. Poza tym czytała jego myśli: gdy coś mówił albo gdy milczał; gdy spał – czytała sny, chociaż oczy miał zamknięte. Wtedy wyjątkowo czytała mu z twarzy. I o dziwo – ojciec nigdy nie zakwestionował tej jej umiejętności. Przyznawał się do wszystkiego, co matka przeczytała. Ale też przyznać trzeba, że czytała uważnie i bardzo dokładnie. Po wielu latach, gdy ojciec zrozumiał, że kiedy jest pijany, to sam jej właściwie podpowiada, co ma czytać, a ona dociera do wszystkich, najbardziej nawet skrytych jego tajemnic, nauczył się w stanie nietrzeźwości chować w sobie i nie pozwalać czytać... a przynajmniej nie ułatwiać jej tego. Nic nie mówił, kulił się i szybko szedł spać. A kiedy umarł – matka nie miała